

Godziny ciszy w Atlas Arenie

Zostałam zaproszona do pełnienia funkcji, cytuję: „członka Zespołu Egzaminacyjnego, który będzie przeprowadzał lekarsko-dentystyczny egzamin końcowy zwany LDEK”.

Egzamin zorganizowano 6 września 2023 r. w godzinach 10:15–14:15 w Atlas Arenie. W zaproszeniu podano instrukcję: wejście na poziomie -1 pomiędzy kasą biletową a dyżurką ochrony.

Atlas Arena to nie jest maleństwo i szukaj tu dyżurki ochrony! Ale pomaleńku szłam śladami młodych ludzi, którzy już przed ósmą rano wędrowali stadnie w jednym kierunku i siadali na zewnętrznych schodkach prowadzących w dół. Niby w kupie, ale każdy osobno, rzadko ktoś rozmawiał z kimś na żywo, przeważnie z oczyma wślępionymi w ciszy w ekran smartfonu lub laptopa. Ostatnie powtórki?

Miejscowy cieć skierował mnie do odnośnego zespołu. Znalazłam się w grupie osób głównie płci żeńskiej, w niezbyt zaawansowanym wieku, w sposób widoczny dobrze się znających.

Była to grupa pracowników Centrum Egzaminów Medycznych, którego dyrektorem jest dr hab. n.prawn. Rafał Kubiak. Dołączyłam do nich. Z powodu mojego peselu zostałam zwolniona z obowiązków logistycznych związanych z wpuszczaniem osób zdających do sali egzaminacyjnej. Miałam więc trochę wolnego, spacerowałam, „piłam herbatę za herbatą” i oswajałam się z ogromem sali.

Ongiś odwiedziłam ten obiekt z okazji występów mojego ówczesnego telewizyjnego ulubieńca, niejakiego Cezara (Cesara?), meksykańskiego psiego psychologa. Usiłował i tu błyskawicznie wychowywać jakiegoś białego brytana, ale raczej z mizernym skutkiem. Czymś, co mnie wtedy stąd szybko wygoniło, była głośność nagłośnienia i pogłos pogłosu (przepraszam wszystkich, którzy akceptują ową dźwięczność dźwięków!). Tak czy owak do tej pory Atlas Arena kojarzyła mi się z bardzo głośnymi imprezami (głównie muzycznymi, sportowymi i handlowymi).

Tym razem główna arena Areny zastawiona była stoliczkami i przynależnymi krzeselkami w granatowym odcieniu do pracy indywidualnej. Po dwadzieścia w jednym szeregu w poprzek sali i po iluś tam w rzędach, żeby zmieściły się... 702. Siedemset dwa!

Młodzi zestresowani zdawacze z rzadka od razu po wejściu zajmowali swoje miejsca. Przeważnie grupowali się z przyjaciółmi (no, jeszcze trochę, jeszcze pół godzinki...) w schodkowych sektorach bocznych, dodając sobie – jak mniemam – wzajemnie otuchy.

Nie widać już było komórek ani laptopów.

Z szacunku dla powagi chwili (zresztą czterogodzinnej!) ubrałam się odświętnie w czern i biel. Tak jak było za młodu (znaczy: za mojego młodu) na egzaminach. Rzucając wielokrotnie tym lub owym okiem po sali stwierdziłam, że może połowa zdających przestrzegają w ubiorze czegoś takiego jak *dress code*. Trzy śliczne dziewczyny były w króciutkiej lub ciut dłuższej całkowitej bieli. Komunijne, ale bardzo ładnie. Kilka innych w kolorowych, długich, ale bardzo eleganckich sukniach. Przeważały różne kolory bluzeczek i różne długości spódniczek. Panowie wyjątkowo w garniturach, najczęściej w koszulkach, czasem w sweterkach.

Dwie osoby w nakryciach głowy. Ciemnonoka dziewczyna – wierna z pewnością tradycji swego kraju – miała okręcony ciepły, fioletowy szal wokół głowy i szyi, długą czarną suknię plus czarny sweterek. A był przecież upał. Jedna ona lub jeden on do końca nie zdjęła/zdjął kaptura od białej bluzy dresowej. Być może pomagało to w skupieniu. Chłopak w trzecim rzędzie bohatercko wytrwał do końca w epidemicznej maseczce.

Twarzowe uczesanie pań tworzyły najczęściej półdługie włosy, panwie świeżo wystrzyżeni, często na zero w dolnej części głowy i z pięknym, bogatym zarostem wyżej. Zgodnie z modą – żadnej biżuterii, czasem łańcuszek z krzyżykiem. U dwojga osób na przedramionach skromne tatuaże.

Na stolikach lub pod nimi często butelki z wodą, czasem banan, orzechy lub czekoladki dla wzmocnienia eksploatowanej mocno mózgowicy. Nie zauważyłam żadnej maskotki „na szczęście”.

Lwia część osób pisała po polsku, niektórzy po angielsku. Przed każdą osobą leżał dowód osobisty lub paszport. Podpatrzyłam, że wśród paszportów były ukraińskie, tajlandzkie i tajwańskie. Innych nie udało mi się odczytać.

Pytania zawarte były w broszurkach, odpowiedzi należało zakreślać na specjalnych (oczywiście kodowanych) kartonikach z rozrzutem pięciu możliwości. Wzięłam sobie do domu jedną z kart informacyjnych w języku angielskim w celach ćwiczebnych. Broszurki to test *booklet*, a arkusiki z odpowiedziami *answer tickets*. Podczas studiowania treści przeczytałam, że salę w celu wyjścia do toalety można było opuścić **dopiero po 150 minutach**. Jak to dobrze, że egzaminu o podobnych właściwościach nie zdaje się np. na koniec pracy zawodowej. Toż by to była tortura...

Około stu osób oddało prace przed ukończeniem trzeciej godziny. Około trzydziestu dotrwało do ostatniej minuty, widać było, że oddają prace pod bolesnym przymusem. Nikt spośród naszego zespołu nie zauważył żadnej próby ściągania czy kontaktów

międzyludzkich. Byłam bardzo wzruszona, gdy akurat na mnie padło oddanie przez któregoś z młodych ludzi gotowych prac. Gratulowałam serdecznie w swoim lub cudzym języku.

Wychodząc, zabierali swoje mniejsze lub całkiem pokaźne bagaże. Właśnie jadą do domu po podróży ku bardzo trudnemu i równie satysfakcjonującemu zawodowi.

Wszystkim serdecznie gratuluję. Choć jeszcze nie czytają „Panaceum”.

Na sali ponad 150 stolików było wolnych. Mam nadzieję, że ich hipotetycznych użytkowników, po podróży z różnymi przesiadkami też czeka dojazd do stacji docelowej.

Panaceum 10/2023